

CETA – diabelski pakt

25 listopada 2016

Maria Świetlik jest antropolożką polityczności, od trzech lat zaangażowaną w kampanię przeciwko umowom o wolnym handlu TTIP i CETA. Jest członkinią związku zawodowego „Inicjatywa Pracownicza”, działając w komisji zrzeszającej pracownice i pracowników organizacji pozarządowych. Zajmuje się także promowaniem praw cyfrowych. W Akcji Demokracji zajmuje się prowadzeniem kampanii m.in. dotyczącej wpływu TTIP i CETA na polskie rolnictwo i żywność. Rozmowa z Marią Świetlik o skutkach społecznych i gospodarczych wprowadzenia umowy handlowej CETA oraz innych porozumień międzynarodowych.

– Zaczniemy od najprostszej rzeczy, czyli od wyjaśnienia, czym jest umowa CETA i jakie konsekwencje niesie dla gospodarek europejskich i polskiej. Często czytujemy skomplikowane wywody i analizy dotyczące tej umowy, ale nie mamy świadomości, czym ona tak naprawdę jest, jak jest zbudowana, co przypomina.

– CETA to umowa o wolnym handlu i ochronie inwestycji tak zwanej nowej generacji. Nie jest to typowe porozumienie handlowe, ale coś znacznie głębiej zmieniającego demokrację i sposób stanowienia prawa. Ma ona wpływ nie tylko na gospodarkę, na to, jak wygląda wymiana handlowa między Unią Europejską a Kanadą, ale także ma tworzyć nowe ramy do stanowienia prawa, które wpływa na stosunki handlowe. Oznacza to bardzo szeroki zakres tematów. Warto również o niej wiedzieć, że wraz z drugą umową, o której się także wiele w Polsce mówi, tj. TTIP między Unią Europejską a Stanami Zjednoczonymi, mają stworzyć transatlantycką strefę wolnego handlu, czyli przyłączyć Unię do istniejącej od 25 lat północnoatlantyckiej strefy wolnego handlu, która obejmuje Kanadę, Stany Zjednoczone i Meksyk (umowa NAFTA). Strefy wolnego handlu to konstrukty, które dążą do zniesienia granic dla przepływu towarów, i to znacznie głębiej niż typowe umowy handlowe, które dotyczą zwykle tego, jakie będą stawki celne.

Strefy mają także znosić bariery dla wymiany handlowej, wynikające z tego, że w różnych krajach istnieją odmienne przepisy. Jeśli spojrzymy na kwestię handlu żywnością, takimi przepisami są te, które regulują bezpieczeństwo żywności, czyli mówią na przykład, jakich substancji nie wolno do niej dodawać (np. pewnych sztucznych barwników, które są w UE zakazane, a w Kanadzie dozwolone). Mówią też, jak powinna wyglądać produkcja żywności – że np. nie wolno podczas niej stosować pestycydów niebezpiecznych dla zdrowia lub środowiska (i znów, w UE zakazanych jest o wiele więcej niż w Kanadzie czy USA). Dotyczy to także kwestii nowych technologii, takich jak GMO. Te wszystkie zmiany, które chce wprowadzić umowa o wolnym handlu, będą miały konkretny wpływ na gospodarkę obu organizmów – i Kanady, i Unii Europejskiej. Wpływ ten będzie różnorodny i nie jest go wcale łatwo wymierzyć. Najłatwiej oszacować, jaki wpływ będzie miało zniesienie ceł, bo to da dość przewidywalne skutki. Trudniej rozmawiać o tym, co będzie z harmonizacją przepisów, ponieważ nie wiemy, do jakiego stopnia zostaną one ujednolicone. Umowy takie jak CETA nie postanawiają w swoim tekście dokładnie, która bariera zostanie zniesiona, a która zachowana – one tworzą mechanizm przyszłej harmonizacji. Mechanizm wpisany w CETA nazywa się „współpraca regulacyjna” i dopiero po paru latach będziemy mogli powiedzieć, co tak naprawdę te umowy zmieniły. Dzisiejsze analizy prognozujące skutki tej umowy operują na wielu możliwych scenariuszach. Jeśli chodzi o najbardziej „optymistyczne” prognozy, tzn. takie, które zakładają najbardziej pozytywny wpływ na wyniki ekonomiczne, to dla Europy mówi się o wzroście gospodarczym rzędu 0,08 proc., a więc bardzo, bardzo znikomym. Kiedy mówimy o korzyściach ekonomicznych, mamy do czynienia z wieloma obietnicami, ale nawet najbardziej życzliwe badania ekonomiczne nie pokazują znaczącego pozytywnego wpływu na gospodarkę. Natomiast jeśli mówimy o skutkach negatywnych, mamy do czynienia z bardzo nieprzyjemnymi przewidywaniami. Są badania, które mówią, że skutek tej umowy ma zniknąć 230 tysięcy miejsc pracy po obu stronach Atlantyku, a dodatkowo jeszcze 80 tysięcy w krajach

trzecich, czyli w tych, z którymi dziś UE czy Kanada mają wymianę handlową. Po przyjęciu CETA większość tej wymiany przeniesienie się do wewnątrz strefy wolnego handlu. Nie mamy szczegółowych wyliczeń dla Polski, ale z tych 230 tysięcy utraconych miejsc pracy 200 tysięcy przypada na Europę. Możemy przypuszczać, że kraje o słabszej pozycji gospodarczej, takie jak Polska, prawdopodobnie ucierpią bardziej niż silniejsze.

– To są konsekwencje społeczne podpisania umowy.

– To konsekwencje, o których Komisja Europejska czy polski rząd w ogóle nie chcą rozmawiać. Ten temat, mimo że był często przez nas podnoszony, nigdy nie spotkał się z żadnym komentarzem czy reakcją. Na nasze pytanie skierowane do rządu, co zamierza zrobić z ludźmi, którzy stracą pracę, jakie programy wsparcia są przygotowane – nigdy nie dostaliśmy odpowiedzi. To przygnębiający obraz stosunku władz do społecznych skutków umów zawieranych w modelu neoliberalnym. Po trzydziestu latach istnienia gospodarek nastawionych na globalizację w tym modelu, mogę z pełnym przekonaniem powiedzieć, że prowadzą one do pogorszenia warunków pracy i zwiększania nierówności społecznych. Nadal nikt nie chce rozmawiać o tym, jak można temu zapobiegać i – jeśli już nie da się zapobiec – zminimalizować skutki tej umowy. Jestem bardzo przygnębiona tym, że umowa jednak została poparta przez wszystkie rządy unijne. Pomimo ogromnego sprzeciwu społecznego nadal jesteśmy w sytuacji, kiedy decydują nie wartości społeczne, nie wartości demokratyczne, lecz interes naprawdę wąskiej grupy wielkiego biznesu.

– Poszczególne kraje miały możliwość zgłaszania zastrzeżeń i swoich poprawek do poszczególnych elementów umowy, robiła to m.in. Walonia. Czy Polska również zgłaszała jakieś zastrzeżenia?

– To nie były jakieś wielkie możliwości. Istniały na etapie negocjacji. Nic nam nie wiadomo na ten temat, ponieważ negocjacje były tajne, jak i wszystkie związane z nimi

dokumenty. Dwa lata temu wystąpiłam do Ministerstwa Gospodarki – wtedy to jeszcze był rząd PO – i chciałam się dowiedzieć, jakie miał zastrzeżenia, o co prosił, na co się nie zgadzał. Mimo że przeszłam przez trzy instancje odwoławcze, przegrałam sprawę w wojewódzkim sądzie administracyjnym, ponieważ zapadła decyzja, że to są dokumenty utajnione i nie zobaczymy ich przez, z tego co pamiętam, okres trzydziestu lat po zamknięciu negocjacji. Już to samo w sobie jest więc absurdałne – nie wiemy, jak się zachowywał polski rząd, czy czegoś chciał, czy się na wszystko zgadzał, może miał jakieś ważne zastrzeżenia, lecz nie zostały one wysłuchane? Jeśli chodzi o następny etap, czyli ten, w którym umowa została przygotowana i opublikowana, wiemy, że zarówno poprzedni rząd, jak i obecny, zamawiały jakieś studia oceniające jej wpływ, zwłaszcza na rolnictwo. Ale znowu – nie wszystkie studia były publikowane. Możemy tylko spekulować, co rząd zrobił, a co mógł zrobić. Na ostatnim etapie, gdy umowa trafiła już do Rady Unii Europejskiej, tam, gdzie zasiadają ministrowie krajów członkowskich, reprezentant Polski też mógł wnosić zastrzeżenia, ale znów – nadal nie wiemy, czy jakiegokolwiek wnosił, ponieważ jego stanowisko nawet nie zostało opublikowane w sposób otwarty. Możemy się tylko dowiedzieć ze stenogramów posiedzeń komisji sejmowej, że rząd już przyjął jakieś stanowisko i że sejm się na nie zgadza. Jesteśmy niedoinformowani. Na samym końcu zabrakło informacji skierowanej do polskiej opinii publicznej. Zostało nagrane krótkie wystąpienie wiceministra rozwoju z posiedzenia Rady EU, z którego dowiedzieliśmy się, że rząd złożył jakąś jednostronną deklarację interpretującą część zapisów umowy. Tego tekstu też wówczas nie udostępniono. W dodatku jednostronna deklaracja jest... jednostronna, w związku z czym nie działa ona wiążąco dla drugiej strony. Czy było tak, że polski rząd chciał wywalczyć coś więcej, ale mu się nie udało, czy nawet nie próbował – o tym też nic nie wiemy.

– Czyli wszystko jest supertajne i obywatel nie ma do tego żadnego dostępu.

– Tak. Ale to nie tylko kwestia tajności – to również kwestia polityki informacyjnej rządu. Mogłby nas informować o takich rzeczach, ale tego nie robi.

– Umowa przeszła. Jaka jest dalsza procedura? Kiedy odczujemy konsekwencje, co nas czeka?

– W tej chwili czeka nas ostatni etap, to znaczy głosowanie w Parlamencie Europejskim. Zanim nastąpiło to zamieszanie z przyjęciem przez Radę UE, terminarz był już ustalony. Wygląda to tak, że na pracę nad umową jest teoretycznie czas do połowy lutego. Ale już ustalono, że wszystko ma się odbyć jak najszybciej i wygląda na to, że ostateczne głosowanie będzie 14 grudnia. Parlament może CETA przyjąć w całości albo w całości odrzucić. Nie ma możliwości wnoszenia do niej poprawek. De facto jest to półtora miesiąca, czyli bardzo krótki okres jak na prace nad tak skomplikowanym systemem prawnym, jakim są umowy o wolnym handlu. Bardzo również niepokoi to, że Parlament zdecydował się na tak szybkie procedowanie. Znowu nie będzie otwartej debaty, tak jak zabrakło jej na każdym poprzednim etapie tworzenia umowy. W polskim parlamencie też nie prowadzono takiej debaty, komisja po prostu przyjęła stanowisko rządu i na tym dyskusja się skończyła. W związku z tym nikłe są szanse, że europarlamentarzyści będą mieli dość czasu na to, by podzielić się swoimi opiniami, wysłuchać różnych stron i głębiej zapoznać się z argumentami dotyczącymi poszczególnych rozwiązań – bo to naprawdę trudne i złożone rzeczy, nie jest tak, że można sobie wyrobić opinię w pięć minut. Tego czasu po prostu zabraknie. A czas w takich debatach działa na korzyść społeczeństwa. Czyli brak czasu działa na naszą niekorzyść. Będziemy jednak oczywiście starali się rozmawiać z naszymi europosłami – to 51 osób, a więc całkiem sporo jak na 751-osobowy Europarlament. Natomiast po tej decyzji, jeżeli będzie pozytywna, a niestety istnieje takie ryzyko, umowa wejdzie w życie. Nazywa się to „tymczasowe wprowadzenie”, ale de facto ono umowę wprowadza. Wyłączony z tymczasowego wprowadzenia

miałby być tylko system przywilejów dla inwestorów, czyli arbitraż do rozstrzygania sporów inwestor przeciw państwu. Cała reszta umowy wchodziłaby w życie już pewnie w marcu. Wtedy miałby się rozpocząć wieloletni proces ratyfikacji w krajach członkowskich, ale do czasu przeprowadzenia tych ratyfikacji umowa i tak by działała. To takie ratyfikacje post factum. Gdyby doszło do tego, że jednak w procesie ratyfikacji umowa zostałaby odrzucona, nie wiemy, co się wtedy wydarzy, nie mamy na ten temat żadnych szczegółowych informacji, mimo że o nie prosiliśmy. Z tego, co wiemy, natomiast wynika, że ścieżka od decyzji jakiegoś parlamentu krajowego do formalnego wstrzymania umowy międzynarodowej wiedzie przez rząd i Radę Unii Europejskiej i może być pod drodze blokowana (są precedensy). Wiemy, że po tych kilku latach zaistnieje na przykład poważne zagrożenie dla rolnictwa w całej Unii i w Polsce, zagrożenie dla lokalnej produkcji rolnej. I tego się po prostu nie da odwrócić. Nawet jeśli po, powiedzmy, pięciu latach polski parlament odrzuci tę umowę, to nikt nie pokryje nam strat, które ona przyniosła. Jeśli np. w wyniku tej współpracy regulacyjnej dojdzie do obniżenia standardów bezpieczeństwa żywności czy zostaną wprowadzone nowe odmiany GMO, to odrzucenie tej umowy nie cofnie wszystkich regulacji i zmian, które się w ciągu paru lat pojawią. Dla zniszczenia jakiegoś sektora rolnictwa naprawdę wystarczy parę lat, bo rolnicy nie mają pieniędzy, żeby kredytować swoje straty przez lata. I tak już wielu z nich działa na krawędzi opłacalności.

– Tu pojawia się kolejna kwestia – związek umowy CETA z ochroną środowiska naturalnego. Czy istnieją bezpośrednie skutki?

– To bardzo ciekawy aspekt, o którym też niewiele się mówi. To, jak mechanizmy, które powodują umowy o wolnym handlu, czyli właśnie współpraca regulacyjna i system ochrony inwestorów poprzez arbitraż, wpływają na ochronę środowiska, świetnie widać na przykładzie północnoatlantyckiej strefy wolnego handlu, czyli umowy NAFTA. Ma ona już 25 lat, więc

można z dużą szczegółowością ocenić skutki jej wprowadzenia. I widać, że zwłaszcza polityki związane z ochroną środowiska czy zasobów naturalnych, zostały przez nią naruszone. Kanadyjczycy dzisiaj są bardzo zaangażowani w ostrzeganie UE i Europejczyków przed przyjęciem takich rozwiązań, podając wiele przykładów na to, jak ochrona inwestorów zagranicznych była ważniejsza niż ochrona środowiska. Chodziło o lokalne czy regionalne decyzje administracyjne, np. związane z zakazem stosowania jakichś substancji szkodliwych (dodatków do paliwa, które razem ze spalinami uwalniają się do środowiska) czy o zakaz szczelinowania, czyli metody pozyskiwania paliw kopalnych, która jest szczególnie niebezpieczna dla zasobów wody (na mocy referendum w Quebecu mieszkańcy zdecydowali, że chcą zakazu) oraz inne uznane za niebezpieczne środki stosowane w rolnictwie. Istnieją zapisy konstytucyjne chroniące zasób wody jako dobro, które powinno być zarządzane wyłącznie przez społeczność, a nie może być oddane w ręce jednej firmy. Wszystkie te decyzje – a to autentyczne przykłady z Kanady – są podważane przez system przywilejów dla inwestorów, zwany ISDS. Skutki istnienia tych przepisów są takie, że, po pierwsze, jeżeli władze zdecydują się na ochronę przyrody, to potem są pozywane i muszą wypłacać gigantyczne odszkodowania prywatnym firmom, zwłaszcza bardzo bogatym, które stać na takie procesy. Po drugie – często zamiast odszkodowania albo łącznie z odszkodowaniem dochodziło do ugody, której skutkiem było zniesienie przepisów chroniących ekosystem. A trzecim efektem, który widzimy, jest to, że po paru latach istnienia takiego systemu decydenci przestają podejmować śmiałe decyzje na rzecz ochrony środowiska, zdrowia publicznego czy zasobów naturalnych, bo wiedzą, że w konsekwencji zostaną pozwani i że sam proces będzie kosztował ich rząd miliony dolarów – i kolejne dziesiątki albo i setki milionów, jeśli ten proces przegrają. A nigdy nie mogą liczyć na to, że wygrają i że te koszty się zwrócą. Stoi to w całkowitej sprzeczności z celami ruchów społecznych na całym świecie. Dziś o wiele bardziej niż 25 lat temu jesteśmy świadomi, że mamy do czynienia z galopującymi zmianami

klimatu. Wtedy mogły się one wydawać odległą perspektywą. Jeszcze 10 lat temu trwała debata, czy w ogóle zmiany klimatu wywołane przez człowieka istnieją, czy nie istnieją. Dzisiaj widzimy, że nie ma co do tego wątpliwości i że postępują one znacznie szybciej, niż ktokolwiek przewidywał. Umowy, o których mówimy, utrudniają wprowadzenie jakichkolwiek regulacji chroniących środowisko. Po drugie, dają ogromny zastrzyk finansowy wielkim firmom, które działają w sposób szkodzący środowisku. To właśnie firmy wydobywcze są głównymi beneficjentkami tego systemu arbitrażu. Zamiast takie podmioty osłabiać, jeszcze je dodatkowo wzmacniamy. Poza tym sama idea intensyfikacji handlu globalnego oznacza coraz więcej produkcji szkodliwej dla środowiska i, co gorsza, transportu. I znowu jest to aspekt, o którym się prawie w tej debacie nie wspomina. Jeżeli ktoś cieszy się, że wzrosną import i eksport, to powinien też przyjrzeć się, co to dokładnie oznacza. Oznacza to, że jeszcze więcej towarów będzie przewożonych przez oceany i pozostawi bardzo konkretny tzw. ślad węglowy. Bo im intensywniejszy handel, tym musimy produkować więcej brudnej energii, zatruwać atmosferę i oceany. Stoi to w całkowitej sprzeczności z naszą obecną wiedzą na temat tego, w jakim kierunku powinniśmy podejmować decyzje na skalę globalną.

– Dziękuję za rozmowę.

Z Marią Świetlik rozmawiała Magdalena Okraska

Źródło: NowyObywatel.pl